

Joanna Rostropowicz-Clark

Wódz powstańców, poeta bohater

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (26), 119-130

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Joanna Rostropowicz–Clark

Wódz powstańców, poeta bohater

Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojcze, po co – takiej winie?
[K. K. Baczyński]

W książce *Poeci i Szoa* (Sosnowiec 1993) Natan Gross, mieszkający od 1950 roku w Izraelu krytyk, tłumacz i reżyser filmowy, tak pisze o Baczyńskim:

Krzysztof Kamil Baczyński był Polakiem, uważał się za Polaka i całym sercem oraz twórczością to wyrażał. Jednakże Hitler miał na to inny pogląd. Toteż, kiedy w Warszawie zaczęto stawiać mury getta, Krzysztof Kamil – wraz z matką Stefanią oraz rodziną jej brata, prof. Adama Zieleńczyka – postanowili pozostać po aryjskiej stronie, „na aryjskich papierach”. Ojciec Krzysztofa, Stanisław Baczyński (Bittner), Legionista, władający żydowskim w mowie i w piśmie, zmarł przed wybuchem wojny. Matka, wychrzczona, wpadła w dewocję religijną, która zwracała uwagę. Brat matki był także piłsudczykiem, a jego córka „Dziula” (Krzysztof nieraz wspominał kuzynkę z uczuciem) miała raczej lewicowe poglądy.

Po tym lakonicznym wprowadzeniu, Gross przytacza cytaty i dłuższe fragmenty kilku wierszy, w których Baczyński albo bezpośrednio łączy się w bólu z losem polskich Żydów, albo – zawsze skrupulatnie zanotowaną datą – dopowiada specyficzny kontekst kierujący znaczenie utworu ku tej przede wszystkim sprawie. Jednym z przykładów Grossa jest napisany 21 lipca 1943 roku, w dzień po aresztowaniu wy-danych Zieleńczyków, wiersz *Pokolenie*:

Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi — żli troglodyci.

Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy węszących nas,
przed siecią wzdętych kijów i rąk.

Może się mylę sądząc, że moje uczucie wstrząsu, a potem smutku i żalu, po przeczytaniu tych zaledwie czterech — ale jakże gęstych! — stron, nie wymaga wyjaśnień. Więc i ten jeszcze ciężar dźwigał w tak krótkim i tak tragicznym życiu... Ciężar, którym zapewne nie mógł i nie chciał się dzielić z przyjaciółmi, prócz może garstki najbliższych, nader ostrożnie napomykających o tym dwadzieścia kilka lat później w zebranych przez Zbigniewa Wasilewskiego *Wspomnieniach*. I dla czego krytycy, a wśród nich — jeden z pierwszych entuzjastów poezji Baczyńskiego i autor reprezentatywnego wstępu do *Utworów zebranych*, Kazimierz Wyka — konsekwentnie pomijali ten fragment prawdy o jednym z najwybitniejszych polskich liryków dwudziestego wieku? Prawdy, jeśli nawet narzuconej jego świadomości przez historię, to niewątpliwie obecnej w jego twórczości, a szczególnie w szczytowym jej okresie, od jesieni 1941 do lata 1943 roku. Mówię teraz „niewątpliwie”, także z żalem do siebie, że moja młodzieńcza lektura Baczyńskiego (jak wiele innych) była pośpieszna i powierzchowna. Czy byłaby inna, gdybym wiedziała o jego żydowskim pochodzeniu? „Pochodzenie żydowskie”, to nie jest właściwy zwrot — powiedział mi prof. Henryk Hiż, do którego zatelefonowałam z moją rozterką, ponieważ od lat (bez jego duchowej pomocy nie zrobiłabym doktoratu) nadwyzczaj cenię jego mądrość i *amor patriae*. Także — ponieważ wyczytałam, że znał poetę i jego stosunki rodzinne. Moje poruszenie potraktował dość sceptycznie, a nawet z pewnym zniecierpliwieniem wobec enuncjacji nieznanego mu Natana Grossa. — No to co? (Cytuję z pamięci, więc nie w cudzysłowie.) Nikt w naszym środowisku, absolutnie w o l n y m od antysemityzmu, nie zważał na te podziały. Chciano nas dzielić. Endecy i syjoniści. Niemcy! Czy Baczyński się ukrywał? Był w konspiracji. Wszyscyśmy się ukrywali, wyjeżdżali, zmieniali adresy, wzajemnie pomagali w ukrywaniu. I wszyscy podobnie przeżywalismy getto, wywózki, Oświęcim. Wciąż

się o tym mówiło. Wpływ rodziców, matki, był na początku wojny mniej ważny niż rozstanie z Anią, żarliwą katoliczką. Potem miłość i małżeństwo z Basią. I najważniejsza dla wszystkich sprawa — walka z okupantem. Czy mówienie o etnicznej genealogii mogłoby umniejszyć legendę Baczyńskiego? Nonsens. W czyich oczach? I raziłbym nie robić znów opartych na jednym wątku konstrukcji. To jest mówienie o poezji, zamiast jej słuchania.

Godzę się. Nawet jest mi przyjemnie ilekroć mowa o środowisku warszawskim tamtych czasów. To była także moja atmosfera rodzinna, taka właśnie postawa — żeby nie dzielić, nie szperać w metrykach, opierać się „zalewom nienawiści”. Jeśli jednak i ten opór wraz z poczuciem wspólnoty i braterstwa (dziwnie mnie nie zachwyił pean na cześć braterstwa w *Reminiscencjach sentymentalnych* Jana Strzeleckiego) z jednej strony, a z drugiej świadomość związku — choćby narzucona — z tymi, którzy chcieli albo musieli pozostać w swojej odrębności i cierpieć najstraszliwsze piekło, stają się źródłem bolesnych zmagających zapisanych w wybitnym dziele artystycznym, to czy wolno nam w imię szlachetnych idei uznać ten zapis za mało, albo mniej ważny? Niejednokrotnie wielka sztuka wyraża to, co jej twórca odsuwa od siebie w racjonalnym myśleniu i działaniu, jest palimpsestem świadomości, jawnym symptomem ukrywanej choroby duszy — choroby epoki. Nie jest to, w moim przekonaniu, przypadek Baczyńskiego, bo zbyt wiele świadczy, jak bardzo był przytomny myśli i uczuć zawartych w swojej poezji.

Wracając do wierszy. Raz jeszcze zaglądam do wstępu Wyki. „Niewątpliwa analogia z sytuacją rodzinną Słowackiego...” — śliczna bzdurka. I dalej retorycznie nekająca Wykę kwestia, dlaczego „porażenie grozą okupacyjną” nastąpiło u Baczyńskiego wcześniej niż u jego rówieśników, bo już jesienią 1941 roku, odkąd zaczyna się trwający kilkanaście miesięcy szczytowy okres „wybuch”, twórczości poety? „Jesienią roku 1941 — pisze krytyk z myślą o wierszu *Bez imienia* — Niemcy nie uciekali się jeszcze do publicznych egzekucji na ulicach miast jako środka terroru.” Informacja niezupełnie prawdziwa. Jesienią 41 roku zostało ostatecznie zamknięte getto i na ulicach Warszawy rozpoczęło się straszliwe polowanie. Emanuel Ringelbaum notował w swoim *Dzienniku*:

10 XI. Ukazało się rozporządzenie zagrażające karą śmierci Żydom, którzy wyjdą z getta bez przepustki. [...] 8 listopada zastrzelono na ulicy bez sądu specjalnego (jak powiadają) dwóch Żydów: znanego właściciela kina (na Placu Teatralnym) Lejmana, drugiego Żyda na Dworcu Głównym.

W kilka dni później, w więzieniu żydowskim na Zamenhoffa wykonano egzekucję ośmiu Żydów, w tym sześciu kobiet. Polska prasa podziemna pisząc o tej zbrodni podała nazwisko granatowego policjanta, który strzelał – Wiktora Załka. Prócz *Bez imienia* („Wtedy krzyk krótki zza ściany: wtedy w podłogę skała...”) tworzy Baczyński późną jesienią i zimą takie porażone bólem i wewnętrzną burzą wiersze, jak *Jesień 41 r.* („Żebyśmy po schodach szli z czarnych ciał braci...”), *Krzyż, Z szopką, Śnieg, Psalm 4* – proszę je przeczytać! Kazimierz Wyka sugeruje, że w tym okresie Baczyński reagował na koszmar wojny „nie tyle sięgając po fakty i ich liryczną ilustrację, ile poprzez wrodzoną wyobraźnię moralną te fakty antycypując”. Mianuje go zatem reprezentantem i prekursorem „katastrofizmu generacyjnego” w odróżnieniu od „katastrofizmu historiozoficznego” – na przykład Miłosza i Sebyły. Synteza i pomnik reprezentanta. I jak zwykle, im wyższy cokol, tym głębszy cień.

Przed trafnie wyodrębnionym przez Wykę cyklem porażenia grozą okupacyjną, już wiosną tego samego roku Baczyński napisał kilka znamiennych wierszy, świadczących o nawet wcześniejszym wstrząsie wywołanym tym, co wszyscy widzieli. Tadeusz Sołtan we wspomnieniu o koleźce z przedwojennej organizacji „Spartakus”, zatytułowanym *Trudne rachunki pamięci*, pisze między innymi o wspólnym z Baczyńskim kilkudniowym pobycie w szpitalu na Solcu, w marcu i kwietniu 41 roku. „Przyczyną tego pobytu w szpitalu była, jeśli chodzi o mnie, nie tyle może choroba, chociaż serce i wtedy sprawiało mi kłopoty, co wynikająca ze względów bezpieczeństwa chęć zniknięcia na pewien czas z rodzinnego domu” – tłumaczy Sołtan i dodaje, że także Krzysztof, zawsze cierpiący na astmę, pragnął na jakiś czas „znaleźć się w nieco innym otoczeniu”. Wiemy, że w marcu 41 roku zakończono w zasadzie akcję tworzenia getta w Warszawie; jednocześnie napływały do miasta ogromne rzesze przesiedleńców i uchodźców. Rozpoczęły się masowe łapanki mężczyzn do obozów pracy, w tym dwie wielkie obławy 15 kwietnia i podczas Świąt Wielkanocnych, 20 i 21 tego miesiąca, w których aktywnie uczestniczyła policja granatowa. Został aresztowany i ostro pobity w więzieniu Adam Czerniaków.

Mnożyły się akty samobójstw i zaczęła się zaraza donosów. O wierszach, które napisał Baczyński w szpitalu, mówi Sołtan: „kojarzą mi się one z naszymi rozmowami prowadzonymi tam, skąd dojrzeć można było «najdalszy brzeg żalu» i gdzie śniły się po nocach widywane za dnia «oczy z gorzkich podłużnych migdałów»”. Wizytę u Baczyńskiego w szpitalu, na listowną prośbę pani Stefanii, wspomina Joanna Weintraubowa (*Dwaj Kamile*), która wraz z mężem, Jerzym Kamilem, poetą, tłumaczem z Rilkego i bliskim przyjacielem Krzysztofa, przeczekiwała ten okres na wsi pod Warszawą:

Sąsiedował z nim wielki mężczyzna, o którym szepnął mi, że wyszedł z więzienia, że jest cały spuchnięty i że tu, w szpitalu się ukrywa. I w tym miejscu nie mogę sobie dzisiaj przypomnieć, czy powiedział „tu się ukrywa”, czy raczej „tu się też ukrywa”. Trudno po tylu latach mieć kontrolę nad tym, co było prawdą, a co tylko moim wnioskiem wyciągniętym z pewnych sytuacji. Raczej prawdą było to, że Krzysztof był już wtedy zaangażowany w robotę konspiracyjną i sytuacja wymagała ukrycia się w szpitalu. Może właśnie dlatego matka Krzysztofa nie chciała iść do niego, aby nie naprowadzić na jego ślad.

Były to czasy, kiedy nikt nikomu nie zadawał pytań.

Należy podziwiać ogromną kulturę duchową pani Weintraubowej i pana Sołtana, może polegającą właśnie na trafnym wyczuciu, jakich pytań nie należy zadawać w stosunkach międzyludzkich i jakich nie wyciągać na publiczny użytek wniosków. Ale krytyk ma przede wszystkim sumienny obowiązek w stosunku do dzieła, powinność o b j a ś n i a n i a, a dopiero potem, jeśli taki jest jego temperament, budowania syntez. Szczególnie w poezji są pewne kody, obrazy i metafory, a w przypadku Baczyńskiego i jego rówieśników tak istotne daty, których odnośnikami są fakty i sprawy bez określonej o nich wiedzy niejasne. Bo i skąd ma wiedzieć współczesny czytelnik jak rozumieć, co Baczyński widział przez okno szpitala na Solcu, jaki to był „prąd” pod który brodził „na ukos kaszlu i śmierci”? Kazimierz Wyka poniekąd zlekceważył te realne odniesienia z lat 41–43 i zamiast wyjaśnić, zaciemnił sens pisanych wtedy wierszy, mówiąc o ich proroczym sensie wobec późniejszych, „kolumbowych”, wydarzeń. Znacznie chyba młodszy krytyk, Jerzy Świąch (autor wstępu do najnowszego wyboru poezji Baczyńskiego z 1992 r.), proponuje postawę interpretacyjną uwolnioną, poza ogólnym zarysem, od „kontekstów historycznych”:

Gdyby z wierszy Baczyńskiego zestawić najbardziej ciemne i niezrozumiałe fragmenty, to być może właśnie w nich zagęszcza się i kumuluje ta niemożliwa do nazwania tajemnica losu i zbiorowości w imieniu której przemawiał. Fragmentów tych jest wiele, wszak cała poezja Baczyń-

skiego tonie w powodzi metafor, aluzji, skrótów, symboli, przemilczeń (ważny środek ekspresji, czego także poeta nauczył się od Norwida). „Ciemność” i „niezrozumiałość” tego języka jest procentem od dotkniętej Prawdy.

Czyli, radzi nam Jerzy Świąch nie trudzić się nad zrozumieniem licznych niejasnych fragmentów i „doznawać przede wszystkim przyjemności” tam, gdzie wyłania się „dostatecznie silny wymiar uniwersalny”. Czy jednak nie jest przyjemniej, w poważnym znaczeniu tego słowa, wiedzieć z jakiego konkretnego powstaje wartość uniwersalna?

Poeci piszący i publikujący w okupacyjnych arkuszach tajnych wydawnictw, posługiwali się aluzją i przemilczeniem nie tylko jako środkiem ekspresji, ale także — ostrożności. Parotysięczny krąg ich czytelników, doznających na codzień tych samych prawd, rozumiał każdą metaforę i każdy skrót. Wiersze tym prawdom-faktom najbliższe były przepisywane, deklamowane na spotkaniach przyjaciół, w więziennych celach. Zarazem jednak ich autorzy chcieli mieć nadzieję, że „pieśń” — jeśli nie oni sami — „ujdzie cało”, że będzie świadectwem dla potomnych, „obrazem dni”. Że przyszły, nie zmuszony do ukrywania ciała i duszy czytelnik choć trochę się potrudzi, rozejrzy w swojej wiedzy i wyobraźni za właściwym kluczem do metafory, zastanowi nad datą i miejscem. I że pomoże mu w tym światły, sumienny krytyk.

Czytajmy dalej, uważnie, jak miłoszowski kret z latarką. Jest lato 41 roku, budowanie muru wokół getta. Z wiersza *Ci ludzie*:

Głowa przy głowie — taki to mur?
Twarze jak orzech twardych czaszek.
Pięści spęczniałe jak garby gór —
— nasze.

[...]

W dróg poszarpanych linach
motyw jak zasiek się rwie:
nasze, nie nasze, nasze, nie nasze.
To coś przypomina... Już wiem:
pęknięte serca skrzypiec.

lipiec 41 r.

Po jesieni, zamknięciu muru i wspomnianym już pierwszym cyklu nie-tłumionego lamentu (w wydanych przez Świącha *Poezjach* wiersze te znalazły się w rozdziale zatytułowanym *Bohater*) przychodzi zima —

spełniona miłość do Barbary Drapczyńskiej, przepiękne erotyki (wśród nich *Biała magia*) i liryka religijna; dialogi wiary, zwątpienia, nadziei. Zimno zawsze pogarszało jego astmę i za wstawiennictwem Jerzego Andrzejewskiego, zakochany i zabiedzony poeta, został zaproszony na wielkanocny tydzień z dokładką do domu państwa Iwaszkiewiczów na Stawiskach. Bo znów, podczas wyjątkowo mroźnego marca, wśród pogłosek o wywózkach do Treblinki i snujących się po ulicach Warszawy szmalcowników, dopadła go depresja. Pisał w *Milczeniu*:

[...] Znowu dym spowija
i snem przybity, leżąc umieram. Wiek mija.
O, zatrzymać! Milczenie. Widzę jeszcze ludy
i naród pod kopułą, gdzie szalone wozy
wypruwają z obłoków deszcze krwawych nożyc.
I pada mór, i ludzie wypłoszeni
do bram łomoczą, a bramy z kamieni.
Więc przypadają do stóp drżącej ziemi,
a ta otwiera paszcze, całuje i wchłania,
i niebo drga, nie woła żaden głos.

16 III 42 r.

W *Martwej pieśni*:

A sen wieczny upiory zabitych unosi
których — krzyżów ognistych i krzyż nie uprosi,
i płacz wzniesiony późno nie przywróci bieli
i nie zetrze znamienia z śmiertelnej pościeli.

Wielkanoc — kwiecień 1942 r.

W *Samotności*:

Nie ma ludzi. To tylko tragiczność tak krzepnie
w pomniki fantastyczne rosnące beze mnie
i poza mną rosnące. Wzrok ich jak zasłona
i za grzech pierworodny odjęte ramiona.
O, daj mi ten grzech poznać. Nikt na mnie nie woła.

29 IV 42 r.

W *Nocy wiary*:

Ręce jak żuki węgla
popieleją u okien.
Wiatry czarną posokę
i gwiazdy sypią w głąb.

dn. 28 czerwca 42 r.

Trzeciego czerwca odbył się ślub Krzysztofa i Barbary, uroczystości asystował chyba najliczniejszy, w jednym miejscu o jednej porze, areopag poetów. Jarosław Iwaszkiewicz pamiętał, że państwo młodzi wydali mu się wówczas jak para dzieci przystępujących do pierwszej komunii i że dał im ogromny „snop” bzu, zapamiętany także przez innych obecnych w kościele Świętej Trójcy na Solcu. Wspomina Tadeusz Soltan:

W tym miejscu zaczął się też chyba nowy rozdział w życiu poety. Dziwnie się w nim pomieszały różne sprawy i wątki. Nie potrafię jednak pozbyć się wrażenia, że nawet to wszystko, co zwykło się nazywać najbardziej osobistym szczęściem, nie zdołało uchronić poety przed wewnętrznym rozdarcie. Nie mogła wystarczyć najserdeczniejsza tkliwość najbliższych, ani młodzieńcze, żołnierskie przyjaźnie podziemia, nie mogła wystarczyć poezja — poezja sama dla siebie, a nie dla sprawiedliwej oceny świata.

Ważnym wydarzeniem lata 42 roku było wydanie, na powielaczu, pierwszego „tomu” wierszy, a więc książkowy debiut, poprzedzony obecnością kilku wierszy Baczyńskiego w dwóch okupacyjnych antologiach. Tomiki rozeszły się błyskawicznie, pożyczane wśród znajomych na jeden dzień, ale oceny krytyczne rówieśników (m. in. Tadeusza Gajcego) były dość surowe i dla autora bolesne. W piśmie „Sztuka i Naród” ukazała się w kilka miesięcy później recenzja Andrzeja Obornickiego (Stanisława Marczaka), z następującym pod koniec zdaniem: „Nietutejszy woźnico, batem dekadencjnych nastrojów poganiaś konia”. Choć ogromnie ucieszony entuzjastycznym listem—esejem Wyki i wdzięczny „starszym”, przede wszystkim Jerzemu Andrzejewskiemu, który mu pięknie i z wielką troską mecenasował, Baczyński chciał być rozumiany — bo nie wielbiony, nie fetowany — przez młodzież, jego własny i późniejsze roczniki. Jakkolwiek ważne dla debiutanta, pochwały i krytyki wydają się nie docierać do wewnętrznej kuźni poety. Nadal pisze z wyłączonego dla każdego artysty miejsca, gdzie rzeczywistość w nieustannym płomieniu stapia się ze świadomością w kształty trwalsze niż życie. W środku lata, w trzecią rocznicę śmierci ojca, powstaje zadedykowana matce *Wigilia*: scena rewizji w mieszkaniu wdowy („Ciemni, trzej, schyleni, długo szukali w szafie...”), w którym czarny krzyż na ścianie odstraszył szpicli. We wrześniu, dzień po dniu, Baczyński pisze z najgłębszej — nie rozjaśnionej ani miłością, ani wiarą, ani nadzieją — rozpacz.

Ten czas:

I płynie mrok. Jest cisza. Łamanych czaszek trzask;
i wiatr zahuczy czasem, i wiek przywali głazem.

10 wrzesień 1942 r.

Znowu jesień:

A oto już i jesień. Drzewa są na nowo
żaglami martwym domom, skrzydłami martwym snom,
jakby nie powstawały nad rozrąbaną głową,
jakby nie było kolumn roztratowanych rąk.

12 wrzesień 1942 r.

Modlitwa II:

Nikt z nas nie jest bez winy. Kiedy noc opada,
wasze twarze i moja ociekają krwią
i własne ciało jest jak duszy zdrada,
i nienawistne ćwiki własnych rąk.

17 września 1942 r.

Modlitwa III:

Jeśli skrzydła dzieci maleńkich
poobcinają, zamienią w kamień,
odbierz nam ziemię spod stóp przeklętych,
w glinę nas zamień.

wrzesień 1942 r.

Tren II:

Nie ma, nie ma ucieczki. Na rozdartej ziemi
ten milion serc kalekich z mojej piersi krwawi.
Byli żywi, odeszli z słowami prostemi,
tych Bóg milczeniem zbawił.

Rzeczywistość? Między lipcem a drugą połową września trwała wywózka z getta, głównie do Trebłinki, ponad ćwierci miliona Żydów. Ostatni transport opuścił Umschlagplatz 21 września, w dzień Jom Kipur — Sądny. Z wierszy, które Baczyński tak nieustannie pisał tego morowego miesiąca wyjęłam zaledwie kilka ułamków, bo każdemu należy się osobna uwaga, bo w każdym jest inna przewodnia myśl, inny strzęp jednej rany. Stanowią jednak wyraźny cykl, bodajże jedy-

ny w poezji polskiej z czasów wojny, utworów poetyckich bezpośrednio reagujących na gehennę Żydów. Bo zaiste był to piekielnie trudny temat. Joanna Weintraubowa tłumaczy, że jej mąż nie mógł „pisać o tym na gorąco”. „Zbyt wielki był ciężar przeżyć. Zbyt mocne uderzenie.” Nie wdając się zbyt natarczywie w psychologiczne komplikacje i odcienie, można by przypuścić, że większy, niż na przykład Weintrauba, dystans Baczyńskiego wobec powiązań żydowskich, pomógł — może jako wyrzut? może konieczna doza opanowania? — w przełamaniu milczenia. Na tyle, na ile nie narażałoby to jego najbliższych. Ale takie pytania nie są potrzebne.

I znów po tym kolejnym hiobowym lamencie jesieni 42 roku, cichnie na następnych kilka miesięcy głos poety. Podejmując studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, Baczyński coraz głębiej angażuje się w działalność konspiracyjną. Mniej liczne wiersze z długiej, bardzo mroźnej zimy 42/43 roku odzywają się tonem obolałej zadumy, pokory religijnej (co podkreślił już wtedy, w słynnym liście, Wyka), wiary w choćby odległą odnowę życia. Więc i myśl, że „żadna trumna nadaremno” — ale tuż po imieninach Basi, w wierszu bez tytułu:

I gdzie postąpię, pęknie mi pod stopą
ostatni kamień, a dalej już ciemność,
i jestem jak ten pierwszy człowiek po potopie,
który zawinił.

6 XII. 1942 r.

I narastająca z ciemnej bryły miasta, „z zawalonych ruder”, potrzeba walki i zemsty. Z wiersza także bez tytułu:

Stań się krzywdą i zemstą, miłością i ludem.
O, chwyć za miecz historii i uderz! i uderz!

II. 43 r.

W ostatniej dekadzie stycznia w warszawskim getcie doszło do pierwszej, natychmiast brutalnie stłumionej, akcji zbrojnej Żydowskiej Organizacji Bojowej. Trwały jednak nadal znamienne akty sabotażu i oporu wobec kolejnych wywozek — teraz już także młodych mężczyzn. Nawiązano już kontakty z polskim podziemiem w sprawie transportu broni. O świcie, 19 kwietnia wybucha w getcie powstanie. W kwietniu — bez daty i bez tytułu — Baczyński pisze wiersz z następującą pierwszą strofką:

Byłeś jak wielkie stare drzewo,
 narodzić mój jak dąb zuchwały,
 wezbrany ogniem soków żralych
 jak drzewo wiary, mocy, gniewu.

I końcowymi:

Lecz kręci się niebiosów zegar
 i czas o tarczę mieczem bije,
 i wstrząśniesz się z poblaskiem nieba
 posłuchasz głosu serca: żyje.

I zmartwychwstaniez jak Bóg z grobu
 z huraganowym tchem u skroni
 ramiona ziemi się przed tobą
 otworzą. Ludu mój! Do broni!

Pieśń się urywa — „runął na nas grzmiący ognisty strop” — ale w sercu poety zapada od wielu miesięcy przygotowywana decyzja. W czerwcu wstępuje do Szarych Szeregów, do batalionu „Zośka”. Łączy się w *Pokoleniu* wspólna krzywda i wspólny los całego narodu:

Nas nauczono. Nie ma litości.
 Po nocach śni się brat, który zginął,
 któremu oczy żywcem wykłuto,
 któremu kości kijem złamano;
 i drąży ciężko bolesne dłuto,
 nadyma oczy jak bąble — krew.

22 VII. 43 r.

Pozostał jeszcze jeden, ostatni rok. Rok partyzanckiej żołnierki, drżącej o każdą godzinę miłości („i jedno mi dane małe ciało kobiece”) — rok świadomego żegnania się z życiem. W wierszach wątłego ciałem, ale jakże silnego duchem akowca jest tyleż patriotycznego zapалу, co testamentu. Wydaje się, na podstawie kilku z tego okresu wspomnień, że Baczyński, delikatny marzycielski astmatyk, czuł się i psychicznie i fizycznie dobrze w roli, która nie wymagała ani wyjaśnień, ani przemilczeń. Nie był, może po raz pierwszy „inny”, bo dla nastoletnich podkomendnych jego powaga i rezerwa znaczyły nie więcej niż starszeństwo wieku i rangi. W nadzwyczaj intensywnym szkoleniu militarnym i w szeregu akcji, starał się dotrzymać kroku bardziej niż on krzepkim, lecz równie zdeterminowanym chłopcom, uczył się nader pilnie (miał kłopoty z terenoznawstwem) — a kiedy jeden

z dowódców zaproponował mu odkomenderowanie do służby prasowej — odmówił. W małżeńskim mieszkaniu na ulicy Hołówki 3 odbywały się zajęcia szkoleniowe i mieścił się magazyn broni. Basia, wbrew konspiracyjnym kodeksom, o wszystkim wiedziała.

Pisał mniej, ale i ten ostatni rozdział jednego z najwspanialszych dzieł polskiej liryki nie jest bynajmniej jednolity. Rysują się w nim nowe sprzeczności i rozdarcia: jasno określony wybór akowca i wynikający z sympatii lewicowych niepokój o przyszłość Polski, gotowość na śmierć i przepojona ogromnym smutkiem miłość życia. Wielu spośród przyjaciół próbowało go ubłagać, by nie szedł na szaniec. Inni przystali na to, że — jak stwierdza Zbigniew Wasilewski — „musiał wybrać walkę”. Kolega z kompletów, Michał Jaworski napisze, że „decyzję Krzysztofa oddania się walce bez reszty tłumaczą dostatecznie jasno jego wiersze”. Wiersze — „mówiące o sprawach, których wszyscy byliśmy świadkami, ale których nie odczuwaliśmy tak mocno, aniśmy nie rozumieli i nie oceniali tak głęboko”. W tym jednym bardzo prostym zdaniu zawiera się wszystko, co czytelnik poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego powinien wiedzieć, aby ją w pełni zrozumieć i tym wyżej ocenić.

Podchorąży „Krzysztof” zginął śmiercią żołnierza, broniąc Pałacu Blanka, 4 sierpnia 1944 roku. Strzelał celnie, bo zanim pocisk roztrzaskał mu głowę, udało mu się położyć kilku wrogów.

Już po napisaniu tego artykułu dotarła do mnie książka *Męczeństwo i zagłada Żydów w zapisach literatury polskiej* (KAW, 1988) z pięknym wstępem Ireny Maciejewskiej, w którym autorka wskazuje na ściśle powiązanie twórczości Baczyńskiego z wydarzeniami za murami getta, nawet jeśli „nie mówią o nich wprost”, sygnalizują ten związek dokładnym zapisem dat.